

# Ciemniejsza strona życia

Dlaczego nie jest tak,  
jak sobie wymarzyliśmy?



P S Y C H O L O G I A



## Spis treści

1. Trójkątne, przenikliwe	3
2. Wypaleni ludzie	6
3. Ćpanie na ekranie	9
4. Bitwa na krawędzi życia i śmierci	11
5. Sprawy przykryte pieniędzmi	18
6. Pani woli zdolne dzieci	22
7. Nieśmiertelność motyli	26
8. Jak zapobiec epidemii przemocy	30
9. Politycy w ładnym opakowaniu	35
10. Wyspy nicnierobienia	37
11. Czas nie ten sam dla wszystkich	40

© by Forum Media Polska Sp. z o.o., Poznań 2021

ISBN 978-83-260-3841-9

Łamanie: **IGRAM** Wojciech Niedzielski  
Wydawca: Forum Media Polska Sp. z o.o.

ul. Polska 13, 60-595 Poznań

bok@forum-media.pl

tel. 61 66 55 800, fax 61 66 55 888

Art. nr 8690

## 1. Trójkątne, przenikliwe

Dawniej posłałbym cię, miły czytelniku, do kościoła i tam zobaczyłbyś emblemat, od którego chcę zacząć. Ale dzisiaj łatwiej go znaleźć na odwrocie banknotu jednodolarowego. To sławne oko, ujęte w formę trójkąta, należy do symboli odwiecznych. Chrześcijanie i Skarb Federalny są tylko jego najmłodszymi depozytariuszami.

Ten symbol powiedziałby nam wiele o swej mocy, gdybyśmy poświęcili mu odrobinę czasu. Niestety, zarówno na bzdury, jak i na rzeczy godne uwagi spoglądamy tak samo pobieżnie i zbyt krótko, by cokolwiek zobaczyć; raczej ślepi niż widzący. Mądrość przedwiecznych emblematów wymaga medytacji. Bez choćby małego kroku w ich stronę tracimy szansę zobaczenia ich sensu. W tym przypadku chodzi właśnie o widzenie, skoro oko jest tutaj głównym przedmiotem, choć nie jedynym, bo wychodzące zeń promienie czynią je poniekąd słońcem, zaś równoboczny trójkąt dodaje mu kontekstu świętej geometrii. Ale oko jest najważniejsze. W emblemacie jest to oko „boskie”, przez Egipcjan uznane za symbol tego, co „podsycza święty ogień, czyli inteligencję człowieka” (Ozyrys) lub talizman chroniący przed złem (Horus). Teologia reformacji uczyniła je „okiem opatrności”, a teozofia masonów znakiem Wielkiego Budowniczego. Pewnie neoplatonczyk Plotyn nie był pierwszym, który dostrzegł analogię między okiem a słońcem, dawcą światła, życia i mądrości. Napisał, że oko nie mogłoby zobaczyć słońca, gdyby samo nie było słonecznej natury.

Zarówno antyczny Asyryjczyk, Egipcjanin czy Grek, jak młodszy od nich Europejczyk lub Azjata mogą w nim odnaleźć ten sam sens, bo jest tak uniwersalny. Powiedzmy jeszcze tylko, że przez wszystkie minione epoki ten symbol miał człowiekowi uświadamiać przenikliwy, boski wzrok, który go bezustannie śledzi. To nakładało na niego zobowiązanie moralne. Chciał pewnie wypaść jak najlepiej przed tym okiem; podobnie dzisiaj poprawiamy włosy, makijaż czy sukienkę przed kamerą. Dla poprawy samopoczucia fundujemy sobie garść pięknych pozorów wobec obiektywu, bo kamera zadowala się zewnętrznąścią. W naszych czasach wysokiej technologii, globalnych standardów i masowej kultury, duchowość jest drugorzędną miarą człowieczeństwa. Nawet z miłości bliźniego robimy biznes. Może zresztą i dawniej było podobnie, a w „oku opatrności” widziano tylko obietnicę przebaczenia win i grzechów? Tak czy inaczej, ten trójkątny symbol naprowadza nas na kwestię wzroku. Tyle że w naszym przypadku chodzi o dwoje oczu.

Prawe i lewe. To drugie, według wierzeń magicznych, jest jakoby wcieleniem zła. A prawe jest prawe. Podwójność tego organu każe pamiętać o dwojakości widzenia. Jednego, co jest otwarte i jasne, oraz drugiego, co krzywo się mruży. Nie zna tego problemu aparat fotograficzny, patrzący na wszystko jednym, chłodnym okiem. Ale nasza natura życzy sobie, by korzystać z obu. Jest jeszcze tradycja „trzeciego oka” – jogiczno-buddyjska – ciekawego jako fakt, a może tylko metafora. Te wszystkie pojedyncze, podwójne, a może nawet potrójne oczy niczego tak bardzo nie pragną, jak patrzeć. A nasyciwszy nas wizualnym pokarmem zamykają powieki na pożegnanie dnia. Lecz nawet wtedy zalewają nas obrazy snów, jakbyśmy nie mogli żyć ani sekundy bez patrzenia. Więc jakże ganić kogoś za to, że patrzy, gapi się, podgląda, pragnie zobaczyć?

Pewnie nie mniej niż połowę tego, co stanowi kulturę człowieka, zawdzięczamy tej zachłanności oczu. Przede wszystkim szeroki wachlarz sztuk wizualnych – od rysunku, malarstwa

i rzeźby przez architekturę, taniec i teatr po sztukę budowania ogrodów, parków i w ogóle krajobrazu. Bo nie dość oczom, że patrzą i widzą, to jeszcze chcą dać dowody swego patrzenia. Z tej potrzeby zrodziła się sztuka obrazów. Chyba od samego zarania malarzom marzyło się uwidocznienie tego, co niewidzialne. Hieronim Bosch, dziwaczny malarz niderlandzki, u schyłku XV wieku namalował „Kuszenie św. Antoniego”. Nie widział świętego, który żył przeszło tysiąc lat wcześniej. Tym bardziej nie widział monstrów i demonów, co na niego napadły, bo przecież nikt poza Antonim nie mógł ich zobaczyć. Nie przeszkadzało to Boschowi przedstawić drobiazgowo jednego i drugiego – kuszonego i kusicieli – w sposób tak szczegółowy, że kto by się ośmielił nie wierzyć, że tak właśnie było?

Oto widzenie jak gdyby poprzez cudze oczy – w tym wypadku artysty. Obok malarzy wkładających swój mózół w odtwarzanie realnego świata, byli – chyba liczniejsi – artyści, którzy czynili widzialnym to, co było zamknięte w ich wyobraźni. Ci malarze-wizjonerzy wzbogacili naszą wiedzę wzrokową. Nikt nie zobaczyłby archanioła Gabriela zwiastującego Marii Pannie ani „Bitwy pod San Romano”, tak jak ją przedstawił Paolo Ucello, choć w rzeczywistości wyglądała pewnie zupełnie inaczej. I jeśli nawet wątpimy w prawdziwość tych scen, to oczy wręcz przeciwnie – patrzą i wierzą. Wszystko, co widzą, biorą za dobrą monetę.

Człowiek widzi tylko to, co zna – powiedział Goethe i prawie 200 lat temu może był to tylko dowcip. Rzeczywistość, która na żartach się nie zna, dziś w pełni potwierdza tę żalosaną kondycję, w której człowiek jest ślepy na wszystko z wyjątkiem tego, co zna. A kto wie, czy „znać” dziś nie znaczy coś zupełnie innego niż wtedy. W naszym świecie pozbawionym miar i granic tylko jedna – i chyba ostatnia – antynomia może uchwycić resztki tego sensu. Jest nią – chcę wierzyć – odróżnienie tych, co widzą, od tych, co wiedzą. A może już niedługo będziemy mogli wybierać tylko między ślepyimi a głuchymi. W książce Arthura Koestlera „The Art of Creation” jest krótki paragraf poświęcony czemuś, o czym Goethe może nie wiedział, a co uzupełnia jego aforyzm: „Większość ludzi widzących normalnie wierzy, że przez cały czas widzi świat w sposób ostry, gdy w rzeczywistości jest on rozmazany. Tylko mały wycinek pola widzenia – około jednej tysięcznej – jest widziany wyraźnie, a poza tym środkiem widzenie jest coraz bardziej mgliste i niejasne. Jeśli wpatrujemy się uporczywie w pojedyncze słowo na środku właśnie czytanej strony i spróbujemy zatrzymać oczy, by nie posuwały się wzdłuż linijki (co jest niełatwe, jako że czytanie jest umiejętnością automatyczną), zobaczymy wyraźnie tylko kilka liter, reszta linijki w obie strony rozpląwa się w mglistości. A co dopiero cała strona oraz reszta świata wokół? Widzenie skupione obejmuje zaledwie cztery stopnie – to mniej niż kąt czubka szpilki – z kąta stu osiemdziesięciu stopni, czyli całego pola widzenia. Ale nie jesteśmy tego świadomi, ponieważ stale przeszukujemy to pole przy pomocy – przeważnie nieświadomych – ruchów oczu, chcących sprowadzić rozmazane peryferia ku więźbie skupionego widzenia, przyszpilić je do „fovea”, małego punktu w środku siatkówki, jedyne, który zachowuje prawdziwe i wyraźne widzenie (...). Statyczne widzenie nie istnieje; nie ma widzenia bez poszukiwania”.

„Widzi się tylko to, czego się szuka”. Tak mógłby powiedzieć weimarski mędrzec, gdyby czytał Koestlera. Już Nowy Testament w ewangelii św. Mateusza sygnalizuje tę kwestię, choć pewnie od niego wiele starszą: „(...) patrzą, ale nie widzą”. Nie tylko autorytet Biblii mówi, że normalna funkcja narządów wzroku wcale nie przesądza o fakcie percepcji. A przynajmniej o jej jakości. Widzeniu bowiem, w odróżnieniu od zwykłego patrzenia, przypisane jest błogosławieństwo rozumienia. Nie znający pisma chińskiego patrzą na jego znaki, ale ich nie widzą, bowiem są one dla nich czystym, abstrakcyjnym ornamentem. W XX stu-

leciu sztuka Zachodu usiłowała pogwałcić wyraźny podział na gapiących się i widzących, proponując czyste patrzenie bez widzenia. Służyła temu tzw. sztuka niefiguratywna. Już sama jej nazwa – abstrakcjonizm – zapowiadała nieporozumienie, którym rychło okazał się i sam eksperyment. Co prawda znalazł on entuzjastów i nawet dziś apologetci „sztuki nieprzedstawiającej” z dumą obnoszą dowody swej „wiedzy” i swego „widzenia” jako przejaw postępu w formach artystycznych. Lecz to temat do innego dyskursu. Tutaj tylko chcę przywrócić właściwe znaczenie „widzeniu” jako faktowi percepcyjnemu w pełnym zakresie – to znaczy patrzeniu, które nie tylko spostrzega, ale również pojmuje.

A więc nie wystarczy gapić się, wytrzeszczać oczy, wpatrywać się czy zerkać. Są to tylko trywialne czynności oka, a nawet urządzeń fotooptycznych. Wszak nie powiemy, że kserograf, skaner czy kamera filmowa widzą. One tylko patrzą. Mogą utrzymywać obrazy na właściwych sobie nośnikach, ale poza tym są całkowicie ślepe. Mniej więcej tak samo jak ci, którzy widzą tylko to, co wiedzą. Ewangelia jednak suponuje, że są tacy, którzy nie tylko patrzą, ale jeszcze w dodatku „widzą”. I dopiero takie kompletne postrzeganie pozwala mówić o widzeniu właściwym. Ale pozostaje jeszcze szeroki margines pośrednich możliwości, gdy fizjologia wzroku potrzebna jest widzeniu w stopniu małym lub zgoła żadnym. Jasno- lub czarnowidzącym.

Dawniej wszyscy „patrzyli”, a tylko wybrani „widzieli”. Tylko wobec trójkątnego oka panowała równość, bowiem ono widziało na wylot wszystko i wszystkich. Dzisiejszy egalitaryzm nie mógłby spać spokojnie, gdyby ten stan rzeczy trwał nadal. Przeto aby wszyscy czuli się zrównani, mózół naszego widzenia przejęły na siebie sieci telewizyjne. Znam ludzi, którzy o tym, jaka jest pogoda, dowiadują się z telewizji, zamiast podejść do okna. Znam – wszyscy znamy – ludzi, którzy są ślepi na wszystko, czego wprzód nie zarejestrował obiektyw kamery TV. A trójkątne i słoneczne spojrzenie opatrności przegrywa konkurencję z „Big Brother”. Można by pomyśleć, że za skromną cenę abonamentu telewizja czyni nas wszechwidzącymi bogami.

Henryk Waniek